



IDŹ DO:

- Spis treści
- Przykładowy rozdział

KATALOG KSIĄŻEK:

- Katalog online
- Zamów drukowany katalog

CENNIK I INFORMACJE:

- Zamów informacje o nowościach
- Zamów cennik

CZYTELNIA:

- Fragmenty książek online

 do koszyka

do przechowania

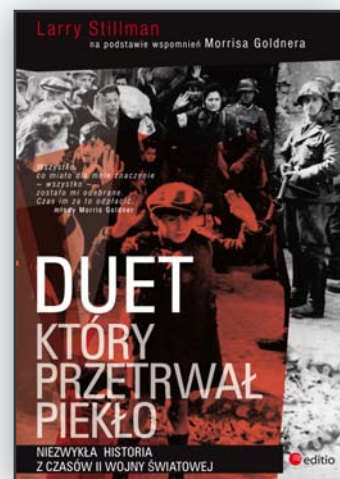


Wydawnictwo Helion
ul. Kościuszki 1c
44-100 Gliwice
tel. 032 230 98 63
e-mail: helion@helion.pl

e-mail: editio@editio.pl
katalog książek: <http://editio.pl>

Duet, który przetrwał piekło. Niezwykła historia z czasów II wojny światowej

Autor: Larry Stillman
Tłumaczenie: Pola Sobaś-Mikołajczyk,
Jacek Mikołajczyk
ISBN: 978-83-246-1919-1
Tytuł oryginału: [A Match Made in Hell:
The Jewish Boy and the Polish Outlaw
Who Defied the Nazis](#)
Format: A5, stron: 328



Wspomnienia żydowskiego chłopca, który miał odwagę walczyć z nazistami

*Wszystko, co miało dla mnie znaczenie – wszystko – zostało mi odebrane.
Czas im za to odpłacić.*

młody Morris Goldne

*Historię Goldnera czyta się jak Oliviera Twista o Holokauście ze szczyptą
Parszywej dwunastki.*

„Chicago Daily Herald”

Autentyczna historia symbiozy między królem polskich bandytów a osieroconym żydowskim nastolatkiem

Zabójczo lodowaty grudzień 1943 roku, gdzieś w południowej Polsce. Pod martwym ciałem ojca, na przemian tracąc i odzyskując przytomność, trzęsąc się na całym ciele, leży śmiertelnie przerażony chłopiec. To, co zostało z dziecka, ukrywającego się od półtora roku przed wyrokiem nazistów, jest na skraju ziemskiej drogi, pomiędzy życiem a śmiercią. Śmiercią, która przeszła tuż obok Mojsze, oszczędziła jego ciało, zostawiając jednak krwawe ślady w duszy – serce rozrywane rozpaczą po utraconej rodzinie, powracające projekcje nieludzkiej masakry, miliony razy zadawane pytanie: „Dlaczego?”.

Duet, który przetrwał piekło. Niezwykła historia z czasów II wojny światowej wciąga od pierwszej linijki. To wyjątkowy pamiętnik z czasów Holokaustu, pełen dramatyzmu i przygód. To prawdziwa opowieść, niepodobna do żadnej innej. To dokumentacja osobistej, symbiotycznej relacji pomiędzy Polakiem i Żydem w epoce niezgłębionej nienawiści. To głos z przeszłości, opowiadający o brawurowych aktach sabotażu i akcjach szpiegowskich, o czteroletniej partyzanckiej walce z hitlerowcami, o żydowskiej hucpie i młodzieńczej odwadze. Wreszcie – o niesamowitej więzi, która narodziła się między nieśmiałym sierotą a najbardziej przerażającym bandytą wschodniej Galicji.

Spis treści

Przedmowa	11
1. Ocalenie	17
2. W lesie	29
3. Kopec	47
4. Sędziszów	63
5. Sabotażysta	81
6. Po Sędziszowie	97
7. O włos	125
8. Podkarpacie	137
9. Grabiny	151
10. Pociąg	169
11. Na ratunek swoim	191
12. Pucybut	199
13. Dwa mosty	213
14. Ucieczka z płonącego lasu	225
15. Wyzwolenie	237
16. Zemsta	257
17. Ucieczka do Berlina	271
18. Wysiedlenie	285
19. Ameryka	301
Postscriptum autora: Straszęcin, czasy współczesne	311
Podziękowania	321
Bibliografia	323

Pucybut

W OSTATNICH MIESIĄCACH niemieckiej okupacji Kopeć wysłał mnie na trzy najbardziej brawurowe ze wszystkich misje. Celem wszystkich ataków były pociągi.

Pierwsza operacja była ponownie obmyślana specjalnie dla mnie i wymagała udziału kogoś, kto mógł uchodzić za młodego chłopaka. Wiedziałem, że kiedy się już zacznie, będę zdany wyłącznie na własne siły, tak jak wtedy, gdy leżałem ukryty pod wagonem towarowym. Tyle że tym razem nie chodziło o zwykły rekonesans. Tym razem misja wiązała się z bliskim, bezpośrednim kontaktem z niemieckimi oficerami.

Innymi słowy, była to czysta brawura.

Podobnie jak przy poprzednich misjach, zastanawiałem się, kto wymyślił tak niebezpieczny plan. W tym wypadku podejrzewam, że nie był to Kopeć, ale raczej ktoś z podziemnej jednostki „Kruka” — może nawet sam dowódca. A może obaj na to wpadli?

Z tego, co słyszałem, od momentu rozpoczęcia przez Armię Czerwoną ofensywy pod koniec 1943 roku Gwardia Ludowa — wtedy przemianowana już na Armię Ludową — coraz bardziej rosła w siłę. W południowo-wschodniej Polsce działała aktywnie zwłaszcza na terenach na wschód od Dębicy, a najbardziej brutalne akcje przeprowadzała na południu, w lasach Podkarpacia, gdzie spędzaliśmy z Kopciem coraz więcej czasu.

Wiosną 1944 roku widać było, że Rosjanie zrzucają na spadochronach rekordową ilość broni. Dostarczali również sporo prowiantu i duże sumy pieniędzy. Co więcej, operujące w okolicy jednostki Armii Ludowej gromadziły coraz większe środki, dokonując napadów na zarządzane przez Niemców młyny, duże gospodarstwa, browary i inne zakłady. Partyzanci mieli więc z pewnością wystarczająco dużo pieniędzy, żeby płacić pazernemu Kopciowi za moje usługi. Podejrzewam, że po zakończonej sukcesem operacji z użyciem aparatu, aż się palili, żeby wykorzystać mnie po raz kolejny.

Tym razem w ramach misji moją bronią miało być zniszczone, prostokątne pudło pucybuta, starannie wykonane przez anonimowego rzemieślnika. W każdym razie anonimowego dla mnie. Kopec pewnego dnia przyniósł je do naszej najnowszej kryjówki w lasach niedaleko Blizny.

— Zdajesz sobie sprawę, że w porównaniu z tym czołganie się pod pociągami z aparatem to łatwizna? — zapytał Kopec, wprowadziwszy mnie w szczegóły akcji.

Skinąłem głową.

— I że nawet jak ci się uda, to tym razem możesz nie zdołać uciec, a nawet jeżeli zdołasz, to sam skok może cię zabić...

— Niech pan posłucha, jeżeli nie będę robił nic, to i tak mogę zginąć. Tak przynajmniej mam szansę zabrać z sobą kilku nazistów.

Kopec milczał przez chwilę, być może zastanawiając się, czy moja brawura jest autentyczna. Mogę zapewnić, że była.

— Wiesz dobrze, że w strachu nie ma niczego złego — powiedział. — Tak jak ci już mówiłem, można go wykorzystać na swoją korzyść.

Spojrzałem na Kopcia i utkwivszy wzrok prosto w jego twarzy, powiedziałem:

— Dlaczego miałbym się bać? Wyszkoli mnie pan i tak długo będziemy wszystko powtarzać, aż będę znał zadanie na wylot. Gdyby pan wiedział, że nie mam szansy ująć z życiem z tej misji, nie wysłałby mnie pan na nią.

Było to zamaskowane pytanie, ale nie mam pojęcia, czy Kopec je zrozumiał, ponieważ w żaden sposób nie skomentował moich słów. Szczerze mówiąc, w sumie nie byłem pewien, czy chce mnie przy sobie zatrzymać. Gdyby tak było, to dlaczego wysyłałby mnie na

tak niebezpieczną misję? Miałem mnóstwo wątpliwości; raz byłem pewien, że mu na mnie zależy, ale już po chwili wcale nie byłem o tym przekonany. Zastanawiałem się też, czy sam potrafiłby zupełnie szczerze odpowiedzieć na to pytanie.

Dwa dni później zostały wyznaczone czas i miejsce akcji. Kopec, jak się domyślałem, doszedł do wniosku, że jestem już gotowy.

Znowu nastała wiosna. Dzień był przyjemny i pogodny. Szedłem w kierunku stacji kolejowej w miasteczku Ropczyce przy ważnej linii kolejowej Kraków-Lwów, przecinającej niebezpieczną część świata, którą zamieszkiwałem.

Jeżeli dobrze pamiętam, partyzanci wybrali Ropczyce, ponieważ była to bardziej ruchliwa stacja niż inne w wioskach przy głównej linii, takich jak Czarna czy Grabiny. Choć oczywiście nie aż tak bardzo, jak na przykład dworzec w Dębicy kilka kilometrów na zachód. Plotka głosiła, że Rosjanie są coraz bliżej. Oznaczało to, że pociągi ciągnące na wschód będą wypełnione niemieckimi żołnierzami, wysyłanymi w celu wzmocnienia linii obronnych przed napierającym rosyjsko-ukraińskim frontem.

Poprzedniej nocy padał deszcz — świeży, oczyszczający powietrze deszcz. Pod stopami chłupotały mi zbierające się w koleinach kałuże. Doskonale. Oznaczało to brudne buty, afront dla niemieckiej schludności i porządku.

Nocą zakradłem się w granice Ropczyc. O mało nie zostałem przyłapany, kiedy prześlizgnęły się po mnie światła pędzącego samochodu, przewożącego oficerów SS. Kopec postanowił, że powinienem zostawić luger i granaty. Pozbawiony broni, czułem się nagi. Miałem jednak jak wytrawny aktor odegrać swoją rolę, mając przy sobie tylko niewielką skrzynkę pucybuta. Nie mogłem ukrywać pod ubraniem niczego, co mogłoby mnie wydać, gdybym został schwytany i przeszukany.

Spacer przez miasteczko w biały dzień, i to ze świadomością, że powinienem raczej dać się wypatrzeć, niż pozostawać w cieniu, był dla mnie czymś dziwnie ożywczym. Mijało mnie zresztą niewiele osób, a nawet ci, których spotykałem, przechodzili obok mnie obojętnie, spiesząc się do swoich spraw i starając się nie zwracać na siebie uwagi.

— Wyczyścić, proszę pana? — pytałem mijających mnie mężczyzn.

Ku mojej wielkiej uldze nikt ani razu nie zareagował — nikt mnie nie zaszczylił nawet burknięciem. Dzieci ulicy były w tym czasie zwyczajnym widokiem we wszystkich miasteczkach i wioskach. Wydawało się, że jestem kolejnym zubożałym obdartusem, zbyt młodym, żeby nadawać się do fizycznej pracy, usiłującym tu i tam zarobić parę złotych. Za każdym razem, kiedy nie uzyskiwałem odpowiedzi, udawałem rozczarowanego — była to część mojej roli.

Kiedy dotarłem na stację, ciągle jeszcze było bardzo wcześnie. Do spodziewanego przyjazdu pociągu transportowego, zmierzającego na wschód, zostały dwie godziny. Rozejrzałem się w poszukiwaniu potencjalnych klientów, ale nikogo nie znalazłem. „To dobrze” — pomyślałem. „Mam czas”.

Kiedy usiadłem na prawie pustym peronie, zaczęło mi burczeć w brzuchu. Od ilu godzin nie jadłem? Zbyt wielu, a do kolejnego posiłku dzieliło mnie pewnie jeszcze sporo czasu. Zanim uratował mnie Kopeć, poznałem wszystkie rodzaje ukłuc głodu, ale nigdy nie przyzwyczailem się do tego uczucia. Nigdy nie zapomnę, jak to jest chodzić przez wiele dni z pustym żołądkiem.

Po około dwudziestu minutach moja cierpliwość została wynagrodzona. Usłyszałem prowadzoną po niemiecku rozmowę, dobiegającą od budynku stacji, tuż za rogiem ściany, przy której siedziałem. Wsłuchawszy się, zrozumiałem tyle, że rozmówcy czekają, by wsiąść do najbliższego pociągu. Narzekali, że znowu skierowano ich na front. Miałem nadzieję, że to oficerowie, a nie zwykli żołnierze; oznaczałoby to, że pociąg będzie wypełniony żołnierzami o równej im randze.

Podniosłem pudło pucybuta i poszedłem w kierunku, z którego dobiegały głosy, przetykając moją nienawiść jak gorzkie lekarstwo. Serce zabiło mi żywiej. Podejrzewam, że byłem trochę wystraszony. Kopeć byłby zachwycony.

Skręciwszy za rogiem, udawałem mile zdziwionego tym, że natknąłem się na dwóch mężczyzn — byli z SS — którzy opierali się o ścianę stacji i palili papierosy. Mieli po jakieś 35 lat, byli blondynami i wydawało się, że są w doskonałej formie, tyle że jeden z nich prawie przy każdym oddechu kaszłał. Początkowo prawie mnie nie zauważyli, zwracając na mnie tyle uwagi, co na karalucha.

— Wyczyścić, proszę panów? — zapytałem po polsku, wskazując palcem na ich wysokie brązowe buty.

— Te żałosne bachory są gorsze niż jakieś pierdolone szczury — powiedział gardłowym głosem po niemiecku pierwszy oficer, kończąc zdanie głośnym kasznięciem.

— Odważny dzieciak, musisz przyznać — zauważył drugi z nich, demaskując się przede mną jako o wiele łatwiejszy cel.

— Wyczyścić, proszę panów? — powtórzyłem, tym razem po niemiecku, tym samym niewinnym i pełnym nadziei głosem.

Obaj oficerowie spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

— Jak się nazywasz i skąd jesteś? — zapytał jeden z nich. Drugi patrzył tylko podejrzliwie, po chwili ulegając kolejnemu atakowi kaszlu.

Wiedziałem, że od tego, jak zareaguję na tego rodzaju pytania, zależy moje życie. W głowie kłębiły mi się różne możliwe odpowiedzi. Z pobliskiego chodnika podniósł się zapach dzikich kwiatów — nieoczekiwany aromat w tak okropnym miejscu i czasie — wypełniając moje zmysły i rozprasząc mnie na chwilę.

„Skup się” — przykazałem sobie. „Pokieruj swym strachem”.

— Mam na imię Jaś — powiedziałem, wybierając dla siebie imię Kopia. Było ono w Polsce bardzo popularne. — Mieszkam w gospodarstwie w Chechłach, niedaleko stąd. Mój ojciec jest bardzo chory. Nie mamy pieniędzy.

Kłamstwo przychodziło mi bez trudu. Mimo to ciągle byłem pełen obaw, do czego może doprowadzić to przesłuchanie.

Gburowaty oficer zmarszczył brwi i powiedział:

— Założę się, że to mały Żydek.

Prawie się zsikałem.

— To na pewno Żyd — powtórzył. — Mówi po niemiecku.

Byłem przygotowany na tego rodzaju uwagi. Miałem tylko nadzieję, że odpowiedź, której kiedyś udzieliłem już przy podobnej okazji — że mój ojciec jest Polakiem, a matka Niemką — zadziała tak samo dobrze, jak wtedy.

Uraczywszy ich tym kłamstwem, przywołałem na usta najbardziej antysemicki uśmieszek, na jaki potrafiłem się zdobyć, i dodałem:

— Gdybym był Żydkiem, nie byłoby mnie tutaj, prawda? To miasto jest już *Judenfrei*, tak jak pozostałe. I dobrze, jak mawia mój ojciec.

Modliłem się, żeby nie opuścili mi spodni, aby zweryfikować moje słowa.

Bardziej życzliwy oficer wydawał się przekonany, ale nie potrafiłem rozpracować drugiego, który tylko burknął coś w odpowiedzi. Zaciągnął się po raz ostatni papierosem, po czym cisnął go na ziemię zaledwie kilka centymetrów od mojej skrzynki. Wstrzymałem oddech. Patrzyłem, jak pet dopala się, a lekki wietrzyk unosi w górę odrobiny popiołu. Nagle obcas nazistowskiego buta opadł twardo na niedopalek i wdeptał go w ziemię.

— Ten bachor to szkodnik — powiedział Niemiec, ani trochę nie łagodząc swojego zdania w interesującej mnie kwestii.

Jego towarzysz zachichotał i powiedział coś w rodzaju: „Franz, czy ty nigdy nie byłeś dzieckiem?”.

Postanowiłem, że czas spróbować jeszcze raz.

— To co, mogę panu wyczyścić buty?

Tym razem zwróciłem się do miłszego oficera.

— Nie mam przy sobie waluty okupacyjnej — powiedział. — Ale mogę ci dać trochę cukierków.

Skinąłem głową na zgodę, zdziwiony, że chciał mi cokolwiek zapłacić. Otworzyłem skrzynkę, wyciągnąłem szczotkę, szmatkę i nabrałem trochę gęstej brązowej pasty.

Dziesięć minut później spojrzałem w wypucowaną skórzaną powierzchnię, która złapała, a potem odbiła promień południowego słonecznego światła. W lustrze, w jakie zamienił się nazistowski but, dostrzegłem twarz chłopca należącego do milionowej rzeszy, skazanej na śmierć z rąk mężczyzn takich jak ten, który stał przede mną.

— Proszę bardzo — powiedziałem z szacunkiem, przełykając wstręt i spoglądając wrogowi w twarz. — Mam nadzieję, że jest pan zadowolony.

— Jesteś zbyt hojny dla tego męta — wtrącił kaszlący oficer, kiedy jego towarzysz wręczył mi kilka cukierków. Spojrzał na mnie. — Za tyle cukierków powinieneś wyczyścić *dwie* pary butów. Masz szczęście, bo moje też są brudne.

Miałem ochotę zabić go na miejscu, zabić ich obu. Ale powiedziałem tylko uprzejmie:

— Z przyjemnością, proszę pana. Będą się błyszczeć jak te od pana kolegi.

I rzeczywiście błyszczały.

Podziękowałem wylewnie obu oficerom za zaszczyt, jaki sprawili mi, pozwalając wyczyścić sobie buty. Nagle — tak jakby zaświtała mi w głowie pewna myśl — zwróciłem się do bardziej spolegliwego oficera i zapytałem:

— A nie mógłbym wyczyścić butów również innym?

— Innym?

— W pociągu. Mogę pojechać pociągiem do następnej stacji i zaproponować innym żołnierzom, że wyczyszczę im buty?

— I tak w pociągu jest już wystarczająco dużo Polaczków — warknął gburowaty oficer. Chodziło mu o robotników, którzy obsługiwali wagony i pasażerów.

— No to co za różnica, jeden więcej czy mniej? — odpowiedział drugi Niemiec. — Uparty dzieciak, musisz przyznać. Gotów jest wracać do domu pieszo z następnej stacji, jeżeli tylko zarobi przy tym parę drobnych albo dostanie coś do jedzenia.

Wiedziałem, że następną stacją jest Sędziszów. Nieraz już wracałem stamtąd pieszo tuż pod nosami tego typu niemieckich skurwysynów. Mogłem to zrobić po raz kolejny.

— Możesz z nami wsiąść, ale potem radzisz sobie sam — powiedział Niemiec. — Pamiętaj, że nie wszyscy są tak wyrozumiali jak ja.

Zrozumiałem, że było to niedomówienie. Mimo to wejście do pociągu wydawało mi się czymś względnie łatwym. Prawdziwe kłopoty czekały mnie dopiero później.

Po godzinie na stację, dysząc ciężko, wjechał pociąg. Stara lokomotywa, plująca dymem i pyłem węglowym, ciągnęła dwanaście wagonów pasażerskich, które miały przewieźć Niemców na wschodni front. Oprócz dwóch żołnierzy w błyszczących butach, do pociągu wsiadło jeszcze trzech innych. Za nimi ruszył pewien zalękniony żydowski chłopiec.

Gdyby pan wiedział, że nie mam szansy ująć z życiem z tej misji, nie wysyłałby mnie pan na nią. W głowie kołatały mi moje własne słowa. Myślałem o Kopciu. O wyrazie jego twarzy, zanim odwrócił się w milczeniu.

Wagon śmierdzał zatęchłym dymem z papierosów i potem ponad dwudziestu żołnierzy. Większość z nich na moją obecność zareagowała obojętnością. Niektórzy drzemali; inni, znudzeni, wyglądali

na zewnątrz przez szare, brudne okna. Przyglądałem się ich twarzom. Pomyślałem z zachwytem, że wszyscy, co do jednego, są skazani na śmierć. Na większość z nich bez wątpienia czekały rodziny. Jeżeli wszystko pójdzie jak należy, zabiorę im ich tak, jak moją rodzinę zabrano mnie.

— Wyczyścić, proszę pana? — zapytałem, spoglądając na oficera w średnim wieku, zajmującego pierwsze siedzenie wagonu.

— Śmiało. Dzieciak jest w tym dobry — powiedział Niemiec, który zaprosił mnie do pociągu i który właśnie zajął następne miejsce.

Otworzyłem skrzynkę i zabrałem się za buty oficera.

Kiedy pociąg minął Ropczyce i zaczął nabierać prędkości, zdążyłem już przesunąć się o kilka rzędów do tyłu. Nikt nie protestował z powodu mojej obecności w pociągu ani nie kazał mi pokazać dokumentów. Jedni traktowali mnie jak natręta, inni jak pracowitego dzieciaka, ale jestem pewien, że do momentu, kiedy było już za późno, żaden z nich nie pomyślał nawet, że pod szmatkami, szczotkami i pastą, pod fałszywym dnem mojej skrzynki znajduje się potężny ładunek wybuchowy oraz prymitywny, ale skuteczny mechanizm zegarowy. Wiedziałem, że od chwili, kiedy przesunę dźwignię ukrytą między puszkami czarnej pasty, która w tym morzu brązowych butów miała pozostać nietknięta, będę miał tylko piętnaście sekund na ucieczkę.

Przebywałem już w wypełnionym hitlerowcami pociągu około piętnastu minut. Lokomotywa sunęła pełną parą, pędząc przez las w kierunku Sędziszowa, Rzeszowa i frontu.

Czas na mnie.

Zaczynałem właśnie pucować trzecią parę butów. Nagle spojrzałem w twarz siedzącemu przede mną, przyjaźnie wyglądającemu żołnierzowi. Był młody, być może tylko kilka lat starszy ode mnie.

Złapawszy się za brzuch, wykrzywiłem się z bólu, choć nawet nie byłem pewien, czy żołnierz od razu mnie zauważy.

— Mój brzuch — powiedziałem, choć nikt nawet nie zapytał, co mi dolega.

— Co?

— Mój brzuch.

— Co z nim?

— Boli. Muszę się wysrać.

— Nie możesz najpierw dokończyć butów?

— Jak nie pójdę do kibla, to zaraz zesram się tutaj.

— Chryste. No to idź.

— Zaraz wracam — skłamałem, podnosząc brązową pastę i kładąc ją z powrotem w skrzynce na puszcze z czarną. Palcem wskazującym zrećnie wymacałem ukrytą pod nimi dźwignię.

Wsunąłem skrzynkę pod siedzenie z przodu, usuwając ją z korytarzyka, po czym wstałem i zgiąwszy się w pół, tak jakbym dostał skurczy, ruszyłem szybko w stronę niewielkiej toalety z tyłu wagonu. Była wolna, co zresztą nie miało znaczenia. Minąłem ją i złapałem za klamkę widocznych obok ciężkich drzwi.

Zacięły się!

Pociąg pędził przez las z tykającą bombą zegarową pod jednym z siedzeń, a ja walczyłem z klamką, która blokowała mi jedyną drogę ucieczki. Nacisnąłem jeszcze raz, z całej siły. A potem jeszcze raz.

Stuk-stuk, stuk-stuk, stuk-stuk — śpiewał pociąg. Osiem sekund, dziewięć, dziesięć...

Poczułem zastrzyk adrenaliny i jeszcze raz, rozpaczliwie naparłem na klamkę. Tym razem drzwi ustąpiły i otworzyły się z głośnym trzaskiem. Kątem oka zauważyłem, że kilka par oczu odwraca się w moją stronę, w tym oficer, który wpuścił mnie do pociągu. Pewnie zastanawiał się, gdzie się wybieram. Miałem tylko nadzieję, że w tych ostatnich sekundach udało mu się zsumować fakty, że na sekundę lub dwie przed tym, zanim na zawsze pochłonęła go ciemność, zrozumiał, do czego przyłożył rękę.

Płuca wypełniło mi czyste, ostre powietrze. Wiatr niemal mnie przewrócił, kiedy stanąłem w otwartej przestrzeni między wagonem, z którego właśnie wyszedłem, a następnym.

Pociąg pędził wściekle przez las. Między drzewami migotały ukośne promienie słońca, tak jakby ktoś wysyłał zaszyfrowaną wiadomość. W uszach załomotał mi dźwięk metalu uderzającego o metal, zagłuszając na chwilę odgłos mojego łomoczącego serca.

Nie zastanawiałem się dłużej. Wyskoczyłem z pędzącego pociągu, uderzając w nasyp i turlając się coraz dalej od torów. Poczułem ostry ból w żebrach i ramieniu — chyba nawet ostrzejszy niż wtedy, gdy dwa lata wcześniej Niemiec postrzelił mnie, a Poźniak dziabnął bagnetem — ale nadal toczyłem się bez końca, aż wreszcie uderzyłem w pień drzewa i się zatrzymałem.

W tej samej chwili wagon, z którego właśnie wyskoczyłem, rozerwała na strzępy eksplozja. We wszystkie strony wystrzeliły pociski ze sprasowanej stali, miażdżąc oba sąsiednie wagony, przewracając kilka kolejnych i wykołując pozostałe.

Pobiegłem w głąb lasu, krzywiąc się z bólu, który atakował moje poobijane żebra i rozerwane ramię. Trzy razy mogłem zginąć: w wybuchu, w deszczu fruwających odłamków szkła i metalu lub w czasie skoku z pędzącego pociągu. Tym razem nawet nie próbowałem zrozumieć, dlaczego po raz kolejny udało mi się ująć z życiem.

Zza pleców dobiegały do mnie krzyki po niemiecku. To pewnie żołnierze próbowali pomóc rannym towarzyszom.

Tylko ci oficerowie, którzy znajdowali się w tym samym wagonie, co ja, mogli zorientować się, co było przyczyną eksplozji. Byłem właściwie pewien, że wszyscy zginęli. Bez obaw oddalałem się więc od miejsca wybuchu. Powoli, walcząc z bólem, znalazłem wreszcie drogę do kryjówki Kopcia i dobrze mi już znanego lasu niedaleko Blizny.

Po drodze myślałem o mojej zuchwałej akcji. Pomimo bólu zacząłem się uśmiechać. Wyobrażałem sobie tych dwóch oficerów SS, do których podszedłem na stacji. Widziałem ich całkiem wyraźnie, gnijących w piekle, trzymających wysoko w górze swoje wyczyszczone do połysku brązowe buty, z dala od płomieni, które brutalnie lizały ich blade pięty. Wkrótce jednak ogień powędrował wyżej, pochłaniając ich nogi, ich torsy, a potem ich całych. Buty spłonęły na samym końcu.

Kopec zdążył się skądś dowiedzieć o powodzeniu mojej misji, zanim jeszcze, poobijany i zmęczony, dowlokłem się do kryjówki w lesie. Zbliżał się wieczór; niebo błyszczało opalizującą luną.

Dopóki mnie jednak nie zobaczył, Kopec nie mógł wiedzieć, jak mi poszło — czy przeżyłem eksplozję, skok, pościg, który prawdopodobnie za mną wyruszył. Czy go to obchodziło? Z pewnością dostałby od „Kruka” swoją zapłatę niezależnie od tego, czy wróce, czy nie. Mimo to...

Mimo to odniosłem wrażenie, że widok mnie — posiniaczonego, ale z pewnością żywego — ze skorych do gniewu oczu bandyty niemal wycisnął łzy. Jak dumny ojciec wysłuchał mojej opowieści o stacji i o tym, jak znalazłem się w pociągu.

— Dobrze cię przygotowałem — oświadczył, kiedy skończyłem. — Poradziłeś sobie lepiej, niż mogłem przypuszczać.

Był to w jego ustach rzadki komplement, mimo że częściowo obdarzył nim siebie samego.

Pozwoliłem sobie na uśmiech. Nie mógł być pewien, czy przeżyję misję, ale wydawał się autentycznie zadowolony z tego, że mi się udało. Ciągłe zastanawiałem się, czy pewnego dnia, być może pod koniec wojny, nie zwróci się przeciw mnie, ale musiałem przyznać, że czuję się coraz bardziej do niego przywiązany. Z jednej strony, człowiek nabiera poczucia bezpieczeństwa, kiedy przebywa z kimś, komu przez ponad dwadzieścia lat udawało się uniknąć schwytania. Ale w czasie mojej przemiany z cichego, małego chłopca w kompana kryminalisty dostrzegłem też w mym dobroczyńcy coś, czego — jestem pewien — nikt inny wcześniej w nim nie zauważył: człowiek ten pod skórą bezwzględного, często brutalnego bandyty skrywał serce, które mogło wypełnić się życzliwością i współczuciem. Naprawdę!

Przez jakiś czas siedzieliśmy obaj w milczeniu. Moje myśli szybko zwróciły się jednak w stronę jednego z najbardziej dokuczliwych, gnębiących mnie, pozostawionych bez odpowiedzi pytań. Wydawało się, że był to najodpowiedniejszy moment, żeby spróbować je zadać.

— Tego dnia, kiedy znalazł mnie pan na stacji w Grabinach... — mój głos zamienił się w przyciszony pisk; czekałem, czy Kopeć mi przerwie.

— No co?

— Dlaczego zaryzykował pan życiem, żeby mnie ratować? Dlaczego mnie pan tam nie zostawił?

Kopeć bez słowa wbił wzrok w ziemię. Podniósł leżącą w pobliżu gałąź i zaczął bez określonego celu uderzać nią w ziemię. W powietrzu zapanował niezwykle spokój, było niemal duszno. Czekałem cierpliwie.

I wreszcie zaczął mówić, choć starannie ważył słowa.

— Nie przeczę, że przydajesz mi się i pomagasz mi zarobić trochę forsy w czasie tej przeklętej, żalosalnej wojny. Przypuszczałem już chyba wtedy, że możesz mi się przydać — wtedy, gdy leżałeś tam pod... Sam zresztą wiesz.

Nagle uśmiechnął się i wyciągnął garść złotych — być może zaliczkę, którą otrzymał za mój ostatni wyczyn.

— Muszę przyznać, że okazałeś się cenniejszy, niż myślałem.

Wstrzymałem oddech. Nie śmiałem mu przerywać, z całego serca chciałem, żeby kontynuował.

— Ale podejrzewam, że nie był to jedyny powód, że nie tylko dlatego cię wtedy podniosłem. Broczyłeś krwią, umarłbyś bez niczyjej pomocy, a w każdym razie, gdyby tylko znalazł cię tam jakiś szkop, na pewno dokończyłby robotę.

— Albo Pożniak — dodałem.

— Albo Pożniak, tak, Pożniak albo jakiś inny cholerny informator. W naszej wsi aż się od nich roi. Posłuchaj, nie jestem świętym. Mam dużo na sumieniu, często... krzywdziłem ludzi. Ale nie dzieci. Nigdy.

Kopeć spojrzał na przypadkowy wzór, który wyrył w ziemi, tak jakby dopiero teraz go zauważył. Cisnął patykiem gdzieś na bok i westchnął głęboko.

— Gdybym cię tam zostawił na śmierć, te faszystowskie świnię i ich informatorzy znowu odnieśliby małe zwycięstwo. A oni nie mogą wygrać. Nie po tym wszystkim, co widziałem...

Nagle zamilkł.

Spojrzałem na niego niecierpliwie.

— No? Co dalej? — błagałem. Aż się paliłem, żeby usłyszeć coś więcej.

Ale ta wyjątkowa chwila właśnie się skończyła.

— Teraz to i tak nieważne. Nic nie jest ważne oprócz tego, żeby przeżyć do końca wojny. I skończyć z tym ciągłym uciekaniem, jeżeli kiedykolwiek mi się to uda. I znowu zobaczyć rodzinę, w moim własnym domu.

— Tak, pan ma rodzinę, do której może pan wrócić.

W moich słowach nie było urazy. Po prostu stwierdziłem fakt.

Kopeć spojrzał na mnie. Czyżby przypomniał sobie o wszystkich różnicach, które nas dzieliły? Wzruszył ramionami.

— Kto wie, mały, do końca wojny wszystko się może zdarzyć, potem zresztą też. Od dawna szuka mnie wielu ludzi. Ale ciebie nic tutaj nie trzyma, powinienes więc wynieść się z Polski, zacząć gdzieś nowe życie, w którym nie musiałbyś się już ukrywać.

— Dlaczego miałbym się ukrywać w Polsce po wojnie? — zapytałem niewinnie.

Kopeć spojrzał na mnie, zdziwiony, że musi mi wyjaśniać coś tak oczywistego.

— Lepiej, do cholery, uważaj, jeżeli kiedykolwiek wrócisz do Straszęcina, Grabin czy do jakiegokolwiek miejsca w tym zapomnianym przez Boga kraju. Wszędzie tutaj aż roi się od takich ludzi jak Poźniak, którzy chcieliby dokończyć to, co zaczął Hitler. Rosjanie też, z tego, co wiem.

Tak naprawdę nigdy wcześniej o tym nie myślałem. Słowa Kopcia wywołały u mnie dreszcz.

Kopeć ciągle nie odrywał ode mnie oczu.

— Kiedyś, dawno temu o coś mnie zapytałeś. Zapytałeś, dlaczego miałeś takiego pecha, że urodziłeś się Żydem. Pamiętasz, co ci odpowiedziałem?

— Coś w rodzaju: takie jest życie.

— Tak, to właśnie powiedziałem, masz rację. Tak właśnie jest urządzony ten świat i nic na to nie poradzisz. Pewnego dnia wojna się skończy i szkopy zgniją w piekle. — Kopeć westchnął i położył mi dłoń na ramieniu. — Ale ty, mój młody przyjacielu, zawsze będziesz Żydem.